

W bólach

Spektakl „Wróg się rodzi” zapowiadał się jako kolejne wydarzenie w teatralnej debacie o roli Kościoła i Radia Maryja w Polsce. Oczekiwanej eksplozji jednak nie było.

Tematem głośnego już przedstawienia „Wróg się rodzi”, które powstało do tekstu Marcina Kąckiego i zostało wyreżyserowane w Teatrze im. Wilama Horzycy w Toruniu przez Anetę Groszyńską, jest społeczna i polityczna rola Radia Maryja. Ten „katolicki głos w twoim domu” jest oskarżany o podtrzymywanie i podsycanie społecznych konfliktów oraz budowanie własnej siły na wytwarzanej wrogości wobec innych.

Spektakl te oskarżenia nie tylko podtrzymuje, ale jeszcze je wzmacnia. Zestawia toruńską rozgłośnię z działalnością Radia Tysiąca Wzgórz, które odegrało haniebną rolę w wywołaniu ludobójstwa w Rwandzie. Twórcy nie uciekają w ogólniki i nie unikają jednoznacznych diagnoz. Skupiają się na źródłach nienawiści, antysemityzmie i zagrożeniach, jakie mogą z działalności toruńskiego Radia wynikać.

Jednak zamiast poruszać i wzburzać, czterogodzinny spektakl nuży, snując się chwilami jak dym z zamokłego ładunku, choć pytania, które stawia, warte są wyostrzenia.

Tysiące wzgórz nadwiślańskich?

Na scenie mamy radiowe studio z mikrofonami, słuchawkami, oknem reżyserki. Gdy widzowie zajmują miejsca, do studia przychodzą realizatorzy i dziennikarze, przygotowują się do audycji, piją kawę, rozmawiają. Nie jest to jednak studio rozgłośni toruńskiej, ale Radia Tysiąca Wzgórz – rwandyjskiej stacji prywatnej, której dziennikarze nawoływali ludzi Hutu do mordowania „karaluchów” – ludzi Tutsi.

Pierwsze sceny przedstawienia to rekonstrukcja wydarzeń z roku 1994, o których – jak o każdej rzezi – wolimy nie pamiętać. Rekonstrukcja jest pospieszna i teatralnie nieudana. Niepamięć i niewiedza, sprawiające, że rwandyjska rzeź jawi się jako niejasny, zamglony obraz czegoś dalekiego czasowo i przestrzennie, wymagałyby o wiele więcej i o wiele skuteczniej podawanych informacji, stopniowania procesu narastania zabójczej propagandowej maszyny.

Tymczasem otrzymujemy oderwane sekwencje w znacznej części niezrozumiałe bez komentarza, rozgrywane bez zróżnicowania emocjonalnego zaangażowania. Obraz staje się płaski, powierzchowny i teatralnie oddalony. Dopiero gdy już po wszystkim wędrująca przez całe przedstawienie Pan(i) Bóg (Karina Krzywicka) pokazuje i objaśnia dokumentalny film, na którym widać mordowanie bezbronnych, na sali wieje grozą. Z widowni słychać ciche „O, Jezu” – mimowolny okrzyk otwierający rany sumień, które zabiły się tak szybko, że nigdy nie czuliśmy ich bólu.

Dla ich otwarcia długie sekwencje radiowe nie wydają się jednak wcale potrzebne. Wystarczy spokojny monolog Pani Bóg, która patrząc nam prosto w twarz, odwraca stawiane w

chwilach rozpaczy pytanie: „Gdzie byłeś, Boże?” na skierowane ku nam: „Gdzie wy wtedy byliście?”. Gdzie byliśmy, gdy Rwanda, gdy Sarajewo, gdy Aleppo?

To potencjalny punkt poważnej dyskusji: czy to pytanie nie jest bardziej dramatyczne, bardziej bolesne, ważniejsze niż cel, dla którego stawia się je we „Wróg się rodzi”. Przypomnienie ludobójstwa w Rwandzie ma bowiem być ramą dla pokazania Radia Maryja jako potencjalnie równie groźnego. Pytanie „Gdzie wy byliście?” zostaje przekształcone w „Gdzie jesteście teraz”, wobec tego, co potencjalnie może okazać się równie groźne. Wprawdzie zestawienie to nie jest przeprowadzane w skali jeden do jeden i nikt nie mówi, że Radio Maryja zdąży dokładnie w tym samym kierunku co Radio Tysiąca Wzgórz. Ale skoro stawia się tak mocną tezę, że – tak jak w Rwandzie – zwykli ludzie w każdej chwili mogą przemienić się w okrutnych morderców, to każdy, kto choćby potencjalnie się do tego przyczynia, powinien zostać przestrzeżony i powstrzymany. Ta przestroga to najważniejszy cel toruńskiego przedstawienia, w którym nie chodzi tylko o Radio Maryja, ale także o tych, którzy go nie słuchają i wydaje im się, że to wystarcza.

Pukając do nieba

Rysując się w początkowych sekwencjach analogie i tezy zostają wywrócone, gdy na scenie pojawiają się dziennikarze w sutannach i habitach oraz on sam – Dyrektor. Rewelacyjny w tej roli Filip Perkowski w kończącym pierwszą część, niespodziewanym monologu zwraca się wprost do publiczności, o której wie, że jest mu niechętna.

W pewnym momencie pyta: „Skoro już wiecie, że jestem zły, to po co przyszliście do teatru?”. Pytanie niezwykle trafne, bo można z dużą dozą prawdopodobieństwa założyć, że jaskrawo krytyczny, oskarżycielski spektakl o Radiu Maryja nie przyciągnie jego zwolenników i będzie tym, czym tak często stają się „spektakle krytyczne”: przekonywaniem przekonanych. Twórcy „Wróg się rodzi” zdają się w tym momencie podejmować próbę odwrócenia perspektywy – w rwandyjską ramę wkładając nagle świadomego swojego społecznego odbioru Dyrektora, który demonstruje siebie z przewrotną autoironią.

Gdy zaczyna grać na gitarze i śpiewać „Knockin’ on Heaven’s Door” Boba Dylana, zachęcając publiczność do oklasków i wspólnego śpiewu, przewrotność osiąga kulminację, a wszystko, co dotychczas wydawało się wywodem ze zbyt prostą tezą, zostaje momentalnie wzięte w nawias. Gdy Perkowski woła: „A teraz alleluja i na przerwę!”, rodzi się nadzieja, że przedstawienie złapało oddech i że czekają nas kolejne zaskakujące zwroty.

Niestety, po powrocie na salę nadzieja powoli gaśnie w ciągu kolejnych, szampańskich, powtarzających się, takich samych niemal scen. Złożone i zaskakujące motywacje, które ujawniał Perkowski w swoim monologu, błędną, jakby tamtej sceny wcale nie było. Aktor wprawdzie zwraca się jeszcze do publiczności i pyta: „Czy teraz znacie mnie lepiej?”, ale odpowiedź niestety musi być przecząca: sceniczny Dyrektor okazuje się postacią z satyrycznej karykatury. Jego aktywności nie tłumaczy nic poza pieniędzmi, których nawet nie pożąda, a po prostu dostaje, dbając, by było ich jak najwięcej.

O ile otaczające go postacie: Ksiądz Arek (Arkadiusz Walesiak), Siostra Dziennikarka (Maria Kierzkowska) i Minister/ /Biskup (Jarosław Felczykowski), mimo szkicowego zarysowania, dostają mocne charakterystyki, pozwalające aktorom na stworzenie wyrazistych kreacji, o tyle Perkowski wydaje się nie wiedzieć, co w końcu ma grać: świadomego i nastawionego na określony cel pedagoga społecznego, demonicznego manipulatora, spryciarza łaknącego pieniędzy czy znającego na wylot ludzkie słabości duchowego przywódcę z Dostojewskiego (w finale urzędnicy Radia mówią do Pani Bóg fragmentami z mowy Wielkiego Inkwizytora). Postać Dyrektora rozmywa się i banalnieje.

Hitler w małych mieszkankach

Bo też i twórcy stopniowo przesuwają akcent gdzie indziej: na codzienne, rozproszone, niemal niezauważalne procesy, które – ich zdaniem – umacniają wpływ sączącego nienawiść radia i grożą przekształceniem zwykłych ludzi w potwory.

Scenom w radiowym studiu od drugiej części towarzyszą niemal nieustannie sekwencje codziennych domowych zajęć Starszej Kobiety (Teresa Stępień-Nowicka). Opuszczona przez goniących za swoimi sprawami synów, słucha Radia, a jej samotność jest żyzną glebą, na której rozwija się działalność Dyrektora, cynicznie wykorzystującego zapatrzonych w niego słuchaczy.

W podsumowującym spektakl wykładzie Hannah Arendt (Matylda Podfilipska) ten właśnie, codzienny, niemal niezauważalny rozpad zostanie uznany za źródło możliwego odrodzenia faszyzmu. Winy „zwykłych ludzi” dowodzi też pojawiający się w kolejnych częściach jak refren wątek Zuzanny Ginczanki, której duch opowiada Pani Bóg swoją biografię. Historia polskiej poetki zamordowanej jako Żydówka, bo wydała ją nazistom polska gospodyni domowa, stanowi zarazem kontrastowe uzupełnienie antysemitycznych wypowiedzi słuchaczy Radia, którym potakują jego dziennikarze. W teatrze znów widmowo ujawnia się napędzający „antysemityzm bez Żydów” mechanizm wyparcia polskiej współodpowiedzialności za Zagładę.

Sceniczny wywód można by więc streścić tak: skoro zwykli ludzie, zmanipulowani mową nienawiści, stali się zbrodniarzami w przeszłości i gdzie indziej, to nie ma żadnej gwarancji, że nie może się to znów zdarzyć tu i teraz. Zmniejszenie tego zagrożenia jest podstawowym obowiązkiem każdego z nas, zaś każdy, kto je zwiększa dla domniemanych korzyści własnych lub swojej grupy, powinien się opamiętać. Nawet jeśli byłoby to dmuchanie na zimne (a przecież nie jest), to i tak lepiej dmuchać do utraty tchu, niż ryzykować, że potem ktoś krzyknie: „O, Jezu!”, oglądając obrazy z bliższych nam niż Rwanda stron świata.

O ile etyczny cel tego wywodu, a zwłaszcza przeniesienie odpowiedzialności z „Onych” na nas i nasze codzienne wybory, jest wartościowy i sensowny, o tyle sposób jego dramaturgicznego i teatralnego przeprowadzenia sprawia, że jest nieskuteczny. Skoro odpowiedzialność spada na nas i naszą codzienność, po co było tak wiele czasu i miejsca poświęcać ukazywaniu obłudy i niezrozumiałej w swych motywacjach manipulatorskiej działalności Radia? Skoro to w nas drzemią demony i to my mamy codzienną troskę i miłością trzymać je na uwięzi, to nie ma przecież znaczenia, kto i czym je karmi.

W efekcie biedna Arendt musi wyjść na scenę i posklejać łopatologicznym wykładem to, co nie udało się autorowi i reżyserce. Niestety jej wykład też jest logicznie sprzeczny (w pierwszej części mówi się, że ludzie to w istocie drapieżne bestie, a w drugiej – że nadzieja w tym, że będziemy... ludźmi). Na jego tle bardziej przekonująco wypada... Adolf Hitler (Bartosz Woźny), który wcześniej, w namiętnym monologu wygłaszanym po niemiecku, protestuje przeciwko porównywaniu jego idei porywającej masy z „pomrukiwaniami zakompleksionego klechy”, twierdząc, że do jego totalnej wizji nie ma powrotu. Twórcy „Wróg się rodzi” usiłują dowieść, że jest i że właśnie zaczyna się w „naszych matek małych mieszkankach”.

Cięcie!

Premierowy spektakl trwał cztery godziny, a to, co w nim pokazano i opowiedziano, można by z pożytkiem dla jego skuteczności skrócić o połowę, wycinając nużące powtórzenia podobnych scen, mówiących przez kolejne minuty to, co łapiemy w lot po pierwszych trzech.

Marcin Kącki w wywiadach przyznaje, że słucha uważnie Radia Maryja i nawet uległ fascynacji jego audycjami. To niestety widać w przedstawieniu, które zwłaszcza w drugiej, najdłuższej części, kręci się w kółko i ubija na sztywno tę samą stężałą już na dobre pianę. Czekają na jakiś przełom, jakiś kolejny zwrot, ale one nie następują. Coraz bardziej znużeni widzowie zaczynają się obawiać, że twórcy chcieli w jednym przedstawieniu zmieścić pomysły na kilka innych: o Rwandzie i obecności w tym kraju polskich księży, w tym arcybiskupa Hosera (taki spektakl mógłby wywołać eksplozję), o Zuzannie Ginczance (tylko błagam – niech już nie śpiewa!) czy o Pani Bóg (świetny materiał na monodram).

Nie wiem, czemu Kącki, mający przecież spore doświadczenie w pisaniu scenariuszy teatralnych z reportażu (przypomnę choćby białostocki spektakl „Biała siła, czarna pamięć” w reżyserii Piotra Ratajczaka), nie zorientował się, że chce powiedzieć za dużo naraz. Nie wiem, czemu sprawna i utalentowana reżyserka Aneta Groszyńska (twórczyni m.in. „Zapolska superstar” i „Głodu”) nie zareagowała na ten nadmiar, a jeszcze chyba go spotęgowała pomysłami inscenizacyjnymi.

Proponuję jednak, by po premierowych pokazach spojrzeli na swoje dzieło z dystansu, albo poprosili kogoś, komu ufają, by zrobił to za nich. Popularne powiedzenie dziennikarskie głosi, że nie ma tekstu, którego nie można z pożytkiem skrócić (jako były korektor wiem, że to prawda, choć serce autorskie łka).

Dariusz Kosiński

Tygodnik Powszechny

08.04.2019